

FURIA PIERWSZA



dr Marzena Lizurej
WIEDZMA

Furia Pierwsza

dr Marzena Lizurej
WIEDZMA

FURIA PIERWSZA



Furia Pierwsza

literackie feministyczne czasopismo lesbijskie

Nr 8, grudzień 2000

Warszawa, Polska

ISSN 1429-4826

Wydanie:

©Stowarzyszenie OLA-ARCHIWUM

Redakcja:

Joanna Mizielińska i Olga Stefaniuk

Współpraca:

Katrin Adler, Maja Lavergne, Renata Lis, Marzena Lizurej, Joanna Pałach,
Anna Pietrzak

Zdjęcie na okładce:

Olga Stefaniuk **Antonia**, Walpurgisnacht- Berlin 2000

Projekt logo archiwum: Katrin Kremmler

Projekt okładki, skład i łamanie: Olga Stefaniuk

OLA-ARCHIWUM

serdecznie dziękuje za życzliwość i wsparcie

Ambasadzie Królestwa Holandii

Furia Pierwsza nr 8 została w części zrealizowana na sprzęcie
komputerowym zakupionym dzięki dotacji programu:

Central European University - Program on Gender & Culture

oraz

Programu Matra- Kap Ambasady Królestwa Holandii

Furia

W rzeczywistości lesbijka nie jest ani „chybioną” kobietą,
ani też kobietą „niezwykłą”.

Dzieje jednostki nie są fatalistycznie zdeterminowane;
w każdej chwili wybór człowieka ujmuje na nową przeszłość,
zaś to, że ten wybór jest „normalny” nie nadaje mu szczególnej wartości;
wybór trzeba oceniać nie w myśl kryterium „normalności”,
ale autentyczności.

Simone de Beauvoir

Furia, gdy:

Ilekoć mowa o kobietach i ich prawach, nigdy o lesbijskich.

Ilekoć mowa o lesbijskich, tylekoć są one przedstawiane skrajnie stereotypowo
lub co najwyżej „pobłażliwie”.

Ilekoć mowa o lesbijskich, tylekoć oburzenia i „współczucia”.

Ilekoć mowa o lesbijskich, nigdy o lesbianizmie.

Ilekoć mowa o feminizmie nigdy o feminizmie lesbijskim.

Furia będzie zawierała teksty, które traktują lesbianizm

i problematykę relacji między kobietami w sposób poważny i wszechstronny.

Nieprzemilczanie własnej egzystencji umożliwia jej widzialność.

Fury, when:

There is discussion about women and their rights, it is never about lesbians,

there is discussion about lesbians, they are always extremely stereotypical

Or, at the most, presented with compassion,

there is discussion about lesbians, it is always accompanied by fury or pity,

there is discussion about lesbians, it is never about lesbianism,

there is discussion about feminism, it is never about lesbian feminism.

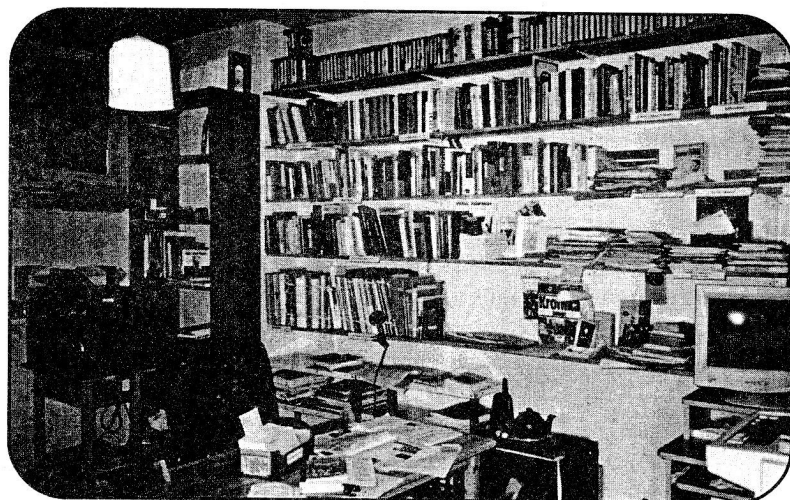
Fury will contain texts that treat lesbianism and the relations between women
seriously and with the whole complexity.

To be visible it is necessary to speak.

OLA – ARCHIWUM

Ogólnopolskie Feministyczne Archiwum Lesbijskie działa od 1996 roku w Warszawie

Gromadzi, przechowuje, chroni, archiwizuje
książki, czasopisma, opracowania, materiały dokumentujące feministyczny
ruch lesbijski
w języku polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim...
prowadzi czytelną umożliwiającą korzystanie ze wszystkich zbiorów



współpracuje z podobnymi archiwami na świecie

PROGRAM WYDAWNICZY :
redaguje i wydaje czasopismo literackie *Furia Pierwsza*

redaguje i wydaje - *Zeszyty Gender Studies* jako seria *Furii Pierwszej*

Archiwum prowadzi
w ramach programu edukacyjno-badawczego
zajęcia *Lesbian Studies*

dodatkowe informacje: poniedziałki i środy w godzinach 16.00 –18.00
tel. 0 604-656-444

Spis treści:

Lesbian Studies

Olga Stefaniuk	Lesbianizm w Polsce – media i stereotypy	6
Renata Lis	Odwaga Józefy Hennelowej	14

Powieść

Trisha Todd	Podróż	23
Erzébet Galgóczi	Inna miłość	42

Poezja

Marzena Lizurej	KTO SIĘ BOI VIRGINII WOOLF? NIE JA	48
Joanna Pałach	Albo	49

Dokumentacja

Zapis programu telewizyjnego <i>Tabu</i>	50
--	----

Nasza Historia

Program Wydawniczy OLA-Archiwum NASZE FURIE PIERWSZE	60
---	----

Olga Stefaniuk

Lesbianizm w Polsce - media i stereotypy

Ze względu na brak społecznej widzialności lesbijek w Polsce powszechna wiedza o nich opiera się jedynie na stereotypach.

Stereotypizacja lesbianizmu w Polsce wiąże się z jednej strony niewątpliwie z obecnością kobiet, o których nie powinno się mówić, nie mówi się, najczęściej wymownie przemilcza skazując je tym samym na niewidzialność i nieistnienie, a z drugiej strony paradoksalnie dotyczy przede wszystkim wyglądu „tych” kobiet.

Stereotypy jednakże najwyraźniej ujawniają się na poziomie komunikacji językowej. W polskim języku potocznym słowo „lesbijka” jest nacechowane negatywnie, jest żenującym terminem dla heteroseksualnej większości, wiąże się z pojęciem nienaturalności, dewiacji czy wreszcie zagrożenia dla „prawdziwej” kobiety wobec której społeczeństwo oczekuje wypełnienia ściśle określonej roli.

W języku publicznym terminy „lesbijka” czy „lesbianizm” nie funkcjonują w kontekście kulturowej tożsamości płci czy też równoprawności różnych orientacji seksualnych, czy wreszcie praw człowieka. Nieznane są również nazwy rozwijających się od kilku lat w Polsce Gender Studies czy Lesbian Studies.

W artykule Barbary Pietkiewicz, dumnie zatytułowanym „Raport Polityki o homoseksualistach. Płeć inaczej. Marsz na orientację”¹ możemy przeczytać trzy komentarze na temat lesbijek. Określane są tutaj jako lesby, biseksualistki, wreszcie

jako dobre, ale zimne żony. Może wydawać się zdumiewające, że autorka artykułu, która tak wyczerpująco przeprowadzała badania na początku lat 90-tych w środowisku lesbijskim, pozwala sobie na tego typu dywagacje, nie wychodzące poza, mówiąc oględnie, określony krąg myślowy. Jeśli jednak przyjrzymy się tym stwierdzeniom, możemy zauważyć, że autorka nie tylko nie wykorzystała zebranych przez te lata materiałów, ale wręcz je zbagatelizowała, serwując czytelnikom / czytelnikom co następuje :

...Większość lesbijek, zwłaszcza z małych miejscowości, idzie w małżeństwo i czasem znajduje w nim bezpieczny azyl i radość macierzyństwa. Ale są także straszne noce. Znajome lesby opowiadały mi, że idą do łóżka po proszkach nasennych albo patrzą tępo w sufit nerwowo licząc, jak przed zaśnięciem, i czekając końca udręki. Lesbijki są często bardzo dobrymi żonami. Wyrzuty z powodu swej mniejszej wartości w łóżku kompensują wzorowym wypełnianiem obowiązków rodzinnych i mężowie, choć żona zimna, są zadowoleni....

...Biseksualistki mówią, że jakoś doznań w seksie z tą samą płcią jest zupełnie wyjątkowa. Dziewczyny znają moc „niebiańskich” stymulacji, do których napalony chłop nie ma cierpliwości, zresztą on nawet nie zna, nie wyczuwa, nie rozumie geografii potrzeb kobiecego ciała...

...U lesbijek podobnie. Dużo seksu, dużo kochanek, dramatyczne pragnienie stałego związku, próby, znów próby. I czasem ktoś na stałe. Im jest łatwiej, mogą udawać kuzynki albo dwie starsze panny po przejściach mieszkające razem.

Język używany we współczesnych publikacjach prasowych lub audycjach radiowych czy telewizyjnych odwołuje się również do przestarzałej terminologii społeczno – kulturowej i polskiej tradycji tolerancji zabarwionej współczuciem i często ograniczany jest fachową terminologią z zakresu medycyny i psychologii na poziomie przeciętnego odbiorcy. W efekcie następuje proces wtłoczenia problematyki lesbianizmu czy raczej homoseksualizmu w zawężony obszar zagadnień ściśle medycznych. Widzowie i słuchacze uzyskują tym samym potwierdzenie własnych wyobrażeń i poglądów na ten temat. Koło się zamyka.

Publiczne wypowiedzi wielu polityków polskich są wyrazem sankcjonowania tabuizacji lesbianizmu i homoseksualizmu w chłopsko-katolickiej obyczajowości polskiej końca XX wieku. Wypowiedzi te świadczą o lekceważeniu problematyki mniejszości, nie tylko seksualnej.

Szkolne podręczniki edukacji seksualnej definiują homoseksualizm jako zboczenie i chorobę.

Badania opinii publicznej przeprowadzane przez CBOS dotyczą najczęściej stopnia akceptacji polskiego społeczeństwa wobec homoseksualizmu, zjawiska powszechnie

funkcjonującego jako zło i dotyczącego mężczyzn. „Z tego powodu większość polskich gejów nie ujawnia swojej orientacji, ponad połowa nie informuje o tym swojej rodziny, a 73% nie ujawniło swojego homoseksualizmu w pracy”.²

Nigdy natomiast nie przeprowadzono w Polsce badań na temat stosunku społeczeństwa polskiego i jego poziomu akceptacji wobec kobiet o nieheteroseksualnej orientacji.

Nie znamy danych statystycznych dotyczących liczby kobiet pozostających w związkach z innymi kobietami, ich sytuacji zawodowej czy zdrowotnej.

W dyskursie publicznym nie funkcjonuje słowo lesbianizm lecz homoseksualizm, co powoduje, że specyfika problematyki kobiet nie zostaje wyodrębniona w żadnym jej aspekcie: społecznym, kulturowym, prawnym czy zdrowotnym.

Wynika to również z faktu, że „polskie społeczeństwo przynajmniej tak, jak widzą moje respondentki, jest bardzo nietolerancyjne, zamknięte na innych, w tym szczególnie na grupy mniejszościowe. Przyczyny tkwią w przywiązaniu do religii i Kościoła katolickiego, jak i w życiu na pokaz z ciągłym stwarzaniem pozorów, że wszystko jest w porządku. Niski poziom wykształcenia także nie sprzyja akceptacji innych od nas”.³

Z drugiej strony zarówno „lesbianizm czy szerzej homoseksualizm nie jest ujmowany w Polsce w terminach politycznych, stąd słaba jego widoczność i organizacja. Ten brak widoczności czy pozostanie w ukryciu, traktowane często jako zdroworozsądkowa taktyka przetrwania, prowadzą do braku istnienia świadomości grupowej i pociągają za sobą słabą organizację ruchu”.⁴

Joanna Podgórska, autorka „Raportu o polskich feministkach. Samoobrona kobiet. Feministki: Czy jest o co palić stanki?”⁵ ujmuje problematykę lesbianizmu i polskiego feminizmu lesbijskiego z perspektywy Ameryki lat 70-tych, w kontekście bezkonfliktowości i strachu o bezpieczeństwo całego polskiego ruchu feministycznego.

Nie bez znaczenia jest jeszcze jeden stereotyp: feministki-lesbijki. Jedno z radykalnych haseł w Ameryce lat 70-tych brzmiało: "Feminizm jest teorią, a lesbianizm praktyką". Nie u wszystkich wywołał entuzjazm i doprowadził do podziału w ruchu feministycznym. W polskim feminizmie nurt ten jest zbyt wąty, by stać się przyczyną konfliktów. Honorową lesbiijką ogłosiła się Izabela Filipiak licząc, że za nią pójda inne, ale nie poszły. Tematyka lesbijska pojawia się czasem na łamach feministycznych pism i zinów, niektóre organizacje tworzą grupy wsparcia dla lesbiijek. Jednak Bożena Umińska, filozof, twierdzi, że z obawy przed poruszaniem tematu seksualności, także homoseksualnej, polski feminizm woli nie mieć żadnej orientacji.

Autorce wystarczy zjawisko nieprześladowanej i nienasładowanej honorowej lesbiйки, a także stwierdzenie Bożeny Umińskiej o braku orientacji seksualnej polskiego feminizmu. Ze względów bezpieczeństwa autorki artykułu, gazety oraz feministek

polskich Podgórska stwierdza, że w Polsce lesbiйки-feministki nie sprawiają kłopotu i nie ma o czym mówić, tym samym szybko odpajkowie ważny aspekt ruchu feministycznego. Postępuje tak, jak wiele innych organizacji kobiecych. Udaje, że wszystko jest w porządku, zamazując obecność lesbiijek, ukrywając je w sferze prywatnej, ale nie dostrzegając ich w obszarze publicznym, w którym działają. Czy rzeczywiście ta liczna rzesza kobiet pracujących i nierzadko kierującymi wieloma programami w polskich organizacjach pozarządowych, lesbijskich, lesbijsko-gejowskich, kobiecych, feministycznych, nieformalnych grupach i zespołach samopomocowych nie może oczekiwać innego traktowania i poważnego komentarza? Nawet ze strony wypowiadających się w tym raporcie feministek, które milczą o swoich koleżankach albo wypowiadają dziwne uwagi, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo upubliczniania swej niestereotypowej prywatności.

-Zdecydowana większość polskich feministek ma mężów i dzieci. Ale żadna z nas nie lubi pytań o życie prywatne, bo wynikają ze stereotypu, że coś tam jednak jest nie w porządku – mówi Beata Kozak.

W polskich warunkach społecznych i kulturowych nieliczne organizacje lesbijskie i kobiety pracujące w organizacjach gejowskich koncentrują się na pierwszym i najważniejszym etapie działalności. Jest to zapewnienie lesbiijkom wsparcia i poczucia bezpieczeństwa oraz rozpoczęcia procesu ujawnienia i samoakceptacji poprzez spotkania i rozmowy z innymi kobietami.

Wydawane przez OLA-Archiwum od 1997 roku literackie czasopismo lesbijskie *Furia Pierwsza*, służy przede wszystkim przełamywaniu milczenia o lesbianizmie, ukazywaniu czytelnikom historii przemilczanych stron lesbijskiej egzystencji w literaturze polskiej i światowej, zachęcanie do poszukiwań i badań w ramach stworzonego przez nas projektu Lesbian Studies, ale przede wszystkim do otwartego i poważnego traktowania lesbianizmu. We wstępie do naszego czasopisma widnieje ważne zdanie:

Nieprzemilczanie własnej egzystencji umożliwia jej widzialność

Pragniemy dać czytelnikom świadomość, że trzeba wydobyć i chronić naszą tradycję.

Lesbijki były od zawsze, pisarki, malarki, aktorki, naukowczynie, fotografki, sławne

i nieznane, były i są wspaniałe, twórcze i wrażliwe.
Ich obecność w społeczeństwie nie wymaga usprawiedliwienia.

Czy rzeczywiście?

Kilka polskich stacji telewizyjnych w latach 1995 – 1999 przeprowadzało rozmowy z lesbijkami w ramach swoich programów rozrywkowych typu talk-show. Między innymi program z cyklu *Na każdy temat*, *Talk-show z lesbijkami*⁶ prowadzony przez Andrzeja Woyciechowskiego, *Narzeczony niepotrzebny* z cyklu *Damski wytrych* prowadzony przez Dorotę Kamińską i Katarzynę Miller czy też *Tabu* Małgorzaty Domagalik.

Po obejrzeniu tych programów wydaje się, że jedynym zadaniem, jakie miały spełnić było zaprezentowanie czegoś niecodziennego i nieoczekiwanego na ekranie. W dobie pogoni za sensacją, typową dla taniej, jarmarcznej rozrywki, jaką jest telewizja, która mieni się dumnie edukatorem społecznym, będącą w efekcie, współcześnie pierwszym produktem kultury masowej, pokazanie twarzy lesbijek było właśnie tą atrakcją, oczekiwaną przez szeroką publiczność.

Pikanterii tej „atrakcji” dodawał fakt, że prowadzące / prowadzący te programy postępowali według potocznej reguły niekwestionowania heteroseksualności. Nie uznawali równouprawnienia różnych orientacji seksualnych. Tym samym następował wyreżyserowany, nieunikniony proces całkowitego przesunięcia ciężaru odpowiedzialności za przedstawienie i poinformowanie o innej orientacji seksualnej na zaproszone do studia kobiety. Postawa twórczyni / twórców tych programów wydaje się całkowicie niezrozumiała, w rzeczywistości jednak jest wynikiem zwykłego konformizmu i inercji zawodowej.

Autorki *Damskiego wytrychu* powołały się na (sic!) „Żywoty pań swawolnych” P. Brantôme’a i rozpoczęły program od następującego zdania:

Lesbijstwo to rodzaj nieszkodliwego seksualnego ćwiczenia dla dziewcząt, wiele bezpieczniejszy niż normalne stosunki seksualne z mężczyznami, które mogą prowadzić do potomka z nieprawego łoża.

W ich ujęciu lesbianizm może być tylko rozpatrywany z perspektywy patriarchalnej. Posłużyły się słowem „lesbijstwo”, które możemy tu odczytywać nie tylko jako przestarzałe czy konserwatywne, ale wręcz obraźliwe. Może to świadczyć o poziomie lektur, jakimi wspierały się autorki, przygotowując swój program. Zapewne zabrakło wśród nich zarówno pozycji z zakresu studiów feministycznych i gender-studies rozpatrujących społeczno-kulturową tożsamość płci.

Nie tylko te autorki uważają, że tak naprawdę nie ma do czego się przygotowywać. Jak wiele innych osób publicznych nie przyjmują do wiadomości, że nie mogą bazować jedynie na powszechnej i przeciętnej wiedzy. Nie czytają, nie kształcą się, w konsekwencji czego dyskurs publiczny w mediach przybiera charakter wymiany poglądów, będących od wielu lat jednobrzmiącymi komunałami.

Rozmowa z Izabelą Filipiak w programie Małgorzaty Domagalik z cyklu „Tabu” z 4 III 1998 roku miała inny charakter. Filipiak jest przede wszystkim pisarką. Jest również feministką. Jej orientacja seksualna jest płynna, choć „teraz” kocha kobietę, to nie determinuje jej jako lesbijkę. Wręcz przeciwnie, jako pisarkę bogacą takie, a nie inne doznania emocjonalne i choć stara się ironizować, tu odczytałabym to jako dystansowanie się, ta czy inna strona Atlantyku wzbogaca ją, urozmaica jej osobowość, co pomaga jej w najważniejszej aktywności – pisarstwie. Wszystko, co ją otacza zewnątrz, czy wewnątrz służy jej jako pisarce, kobiecie – pisarce: ...” Ja właśnie czekałam na to, co się stanie i byłam w takim zawieszeniu, pomyślałam, o to byłby świetny materiał literacki, prawda? Życie się pisze jak powieść, ale ja ironizowałam. Nie sądziłam, że rzeczywiście coś takiego się dokona... „. Filipiak jest osobą publiczną, jest współczesną bożyszczką wielu kobiet, które chciałyby też oddać się literaturze. Jest pisarką wspaniałą, przewrotną i zaskakującą. Podobnie jest z jej coming out’em, ważny, osobisty, ale z tyloma wątpliwościami, jak ten związany z mezaliansem intelektualnym, z zastrzeżeniami, że nie jest „lokalowa” i ze wskazaniem, które pary homoseksualne powinny wychowywać dzieci itd., itd. Wystąpienie I. Filipiak w telewizji w charakterze pisarki, żyjącej obecnie z kobietą, a nie lesbijki, piszącej lub nie piszącej, nie wiąże się z żadnym ryzykiem, na przykład utraty pracy, niebezpieczeństwem wykluczenia z grona rodziny, ostracyzmu towarzyskiego. Wręcz przeciwnie, jest wielką pisarką i może mieć różne pragnienia i w takim świetle będzie postrzegana. Najpierw jako pisarka, wrażliwa, a także kapryśna, ale również doświadczona, mądra, z której zdaniem wszystkie się liczą, radzą i oczekują ukierunkowania.

Czy wobec tego jej coming out jest ważny z perspektywy politycznej, z perspektywy społeczności lesbijskiej?

I tak, i nie. Tak, bo jest to jednak pierwsza, odważna próba otwarcia przestrzeni dla własnej, prywatnej wolności jednostki. Po raz pierwszy w polskim studio telewizyjnym osoba publiczna, kobieta (oprócz Martiny Navratilovej), pisarka powiedziała,

że kocha inną kobietę i żyje z nią. To było bardzo ważne.

Zabrakło jednak w jej wypowiedzi dostrzeżenia ważności społeczności lesbijskiej, jej kulturowej, międzynarodowej tradycji i wreszcie tej społeczności złożonej również z kobiet, które tak często są przekonane, że są jedynymi lesbijkami w swoim miasteczku Gorzowie, Piasecznie czy Włocławku. Zabrakło poczucia wspólnego losu i sygnału łączności z innymi kobietami. Dlatego tak naprawdę Filipiak nie była przekonująca dla lesbijek, które czekały przed ekranem telewizyjnym właśnie na ten sygnał. Być może autorka „Absolutnej amnezji” nie chciała być przekonująca. Może dlatego, że znajduje się już w przestrzeni głównego nurtu kultury i tym samym siłą kontestacji tej kultury słabnie, stanie się jedynie pewną strategią zachowania osiągniętej pozycji.

Trzeba również stwierdzić, że rosnąca liczba programów telewizyjnych i radiowych o tematyce lesbijskiej i gejowskiej jest również swego rodzaju maskotką głównego nurtu kultury, co nie znaczy, że w paradoksalny sposób może kiedyś przyczynić się do poważnego zainteresowania się społeczno- kulturową problematyką płci.

Przypisy:

¹B. Pietkiewicz *Homoseksualiści w: Polityka* nr 29, 15 lipca 2000 s.3-9.

²A. Krasicki – praca magisterska Instytutu socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, 1998

³A. Krzewińska – *Lesbijki w polskich warunkach kulturowych* – praca magisterska Instytutu Socjologii Wydziału Ekonomiczno – Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, 1996

⁴J. Mizielińska *Lesbianizm w Polsce – pomiędzy świadomością a jej brakiem w: Furia Pierwsza* nr 1, 1997

⁵J. Podgórska *Polskie feministki w: Polityka* nr 32, 5 sierpnia 2000, s.3-9.

⁶zob. K. Dunin *Oczywiście, lesbijki w: Tao gospodyni domowej*, Wyd. Open, Warszawa 1996, również w: *Furia Pierwsza* nr 4/5, Wyd. OLA-Archiwum, Warszawa 2000

Renata Lis

Odwaga Józefy Hennelowej

Pismo białych, martwych kobiet

„Wysokie Obcasy”, czyli „kobiety” dodatek do „Gazety Wyborczej”, zdołały już rozczarować wszystkich, którzy wzięli z nimi jakieś oczekiwania. A nawet nie jakieś, tylko bardzo konkretne, choć przyznaję, że były to oczekiwania całkowicie fantastyczne: że będzie to pismo poważnie zainteresowane społeczno-polityczną i kulturalną problematyką kobietą, pismo otwarte, liberalne, a nawet feministyczne. Stało się jednak inaczej - „Obcasy” zostały zwykłym pismem „kobięcym” lub raczej bezskutecznie aspirującym do takiego statusu. Zostały pismem bez tożsamości, które w sferze światopoglądowej wytlumia wszelkie prawdziwe kontrowersje, zaś w sferze praktycznej jest żenująco nieporadne i niekompetentne. Nie dziwnego, że zasłużyło sobie na miano „pisma białych, martwych kobiet”, jak bywa nazywane w niektórych kręgach.

Kołuńskie, asekuranckie i kunktatorskie „Obcasy” są „diabelskim kopytem” „Gazety”, zaprzeczeniem jej oficjalnej, liberalnej linii, która przeważa w ogólnoludzkich emanacjach tego dziennika. Na przykład słynne wyczulenie na dyskryminację mniejszości, powszechnie uważane za znak rozpoznawczy

„Gazety”, do „Wysokich Obcasów” raczej nie dociera albo dociera zniekształcone. Dodatek „kobiety” jest za to od zarania swoich dziejów teatrem infantylnych i komicznych zmagani redaktorek z feminizmem, który - zanim trafi na łamy - poddawany jest klitorydektomii, aby nie eksplodował w głowach czytelniczek, i bez tego traktowanych jak osoby niepełnosprawne umysłowo. Dodatek ten jest także trybuną dla najbardziej antypatycznych porad psychologicznych, jakie można sobie wyobrazić, w wykonaniu Zofii Milskiej-Wrzośińskiej, której - mówiąc oględnie - nieobce są również antyfeministyczne i heteroseksistowskie uprzedzenia. Milska-Wrzośińska, jak żelazna kandydatka do konkursu audiotele, ma zawsze pod ręką niezbędnik pełen stereotypów, które pozwalają jej bez chwili wahania i telefonu do przyjaciela-geja zawyrokować na przykład, komu i z kim wolno mieć dzieci, a komu i z kim - nie¹. Co charakterystyczne, wierność rozpowszechnionym mieszczańskim stereotypom przedstawia się w „Obcasach” z reguły jako akt heroicznej odwagi.

Na tym tle nie powinien dziwić festiwal, jaki osławione „Obcasy” urządziły w mijającym roku czołowej polskiej publicystce katolickiej, poczytywanej w środowiskach katolickich za niekwestionowany autorytet moralny - Józefie Hennelowej. W krótkich odstępach czasu w „Obcasach” ukazała się najpierw poświęcona Hennelowej *cover story*, a potem rozmowa z nią przeprowadzona przez Romana Graczyka, zaczerpnięta z książki-wywiadu *Votum separatum*² (to także tytuł stałego felietonu Hennelowej w „Tygodniku Powszechnym”, z którym jest związana od lat), zatytułowana *Kiedy święty Franciszek zaczyna tańczyć ze szczęścia*³. Redakcja zamieściła ów materiał, nie dystansując się uprzednio wobec kuriozalnych, a nierzadko także nieprawdziwych i obraźliwych stwierdzeń rozmówczyni Graczyka, dotyczących głównie feminizmu i homoseksualizmu, a tym samym udzieliła tym stwierdzeniom swego przyzwolenia i poparcia. Listy oburzonych czytelniczek i czytelników można było przeczytać w następnym numerze pisma, opatrzone pacyfikującym komentarzem redakcyjnym Ewy Wieczorek i dosyć nieprzyjemną odpowiedzią Hennelowej.

Błąd Turowicza

Józefę Hennelową przedstawia się zazwyczaj ogólnikowo i bombastycznie, na przykład tak: „czołowy przedstawiciel otwartego polskiego katolicyzmu w najlepszym wydaniu” (Ewa Wieczorek) albo: „sumienie polskiej publicystyki katolickiej” (Adam Szostkiewicz). Przyznam, że od tego typu ryzykownych określeń wolę pewną anegdotę, którą w dobrej wierze opowiedziała o sobie właśnie w „Wysokich

Obcasach” sama Hennelowa.

A było to tak. Dawno, dawno temu, kiedy Pani Józefa rozpoczynała pracę w „Tygodniku Powszechnym”, do jej obowiązków należała korekta przeznaczonych do druku materiałów. I stało się tak, że pewnego razu do rąk Pani Józefy trafił artykuł legendarnego redaktora naczelnego „Tygodnika”, Jerzego Turowicza, zawierający cytat z Mickiewicza. Błędny cytat. Pani Józefa, już wtedy świetnie wykształcona, naturalnie od razu ów feralny błąd dostrzegła. Czy poprawiła go w trosce o dobro pisma i własną posadę? Nie. Pani Józefa nie ośmieliła się poprawiać Naczelnego, już prędzej gotowa była podważyć własne kompetencje. Jej stosunek do Autorytetu jest zarazem śmieszny i straszny - Autorytet, choćby i sklerotyczny, zawsze pozostaje Autorytetem, a Pani Józefa prędzej zwątpi w siebie niż w Jego nieomyślność. Także dzisiaj chętnie stwierdza, że nie trzeba wszystkiego rozumieć, a kto się jednak rozumieć stara, ponawia grzech pierwszych rodziców.

Ale to nie koniec historii, bo sprawa niestety się wydała. Po wydrukowaniu numeru ktoś dostrzegł błąd, a winowajczynią ogłoszono (poniekąd przecież słusznie) Panią Józefę. Kara w postaci odium, jakie na nią spadło, nie straciła łusek z jej oczu i nie był to przełomowy moment jej życia. A przecież mogło tak być - odmieniona Pani Józefa wyciągnęłaby wtedy wnioski z niezasłużonej kary i poprawiałaby odtąd odważnie wszystkie pomyłki nie tylko Turowicza i Mickiewicza, ciesząc się zasłużonym uznaniem dla swych intelektualnych kwalifikacji i prawdziwej wewnętrznej suwerenności.

Stało się jednak inaczej - w porządku biografii Pani Józefy sprawa błędu Turowicza okazała się inicjacyjnym rytuałem, który symbolicznie wprowadził ją do społeczności opartej na wewnętrznie sprzecznych, patriarchalnych zasadach. A może - co zresztą byłoby jeszcze gorsze - te zasady obowiązywały przede wszystkim w jej głowie? Bo przyznam, że mimo wszystko nie potrafię sobie wyobrazić Turowicza, jak besztą młodą redaktorkę za to, że poprawiła oczywistą pomyłkę, co przecież należało do jej obowiązków. Jakie to zasady? Po pierwsze, autorytet (męski, kościelny) ma zawsze rację (Turowicz na pewno się nie myli, chociaż się myli). Po drugie, ja sama nigdy nie mam racji na pewno, nawet wówczas, kiedy na pewno ją mam (Choć wiem na pewno, że Turowicz się pomylił, to na pewno się mylę). Po trzecie, to ja jestem winna cudzych zaniedbań i uznaję to za słuszne oraz sprawiedliwe (To moja wina, że nie poprawiłam Turowicza, chociaż Turowicz się nie myli, i moja wina, że Turowicz się pomylił, bo Turowicz się nie myli)⁴. Zasady te, tworzące typowe błędne koło, uformowały, jak się zdaje, świat wewnętrzny Józefy Hennelowej. Raczej toksyczny niż etyczny, co przykład z

Turowiczem dobrze ilustruje. Bo czyż nie byłoby etyczniej w trosce o prawdę przekazu „Tygodnika” sprostować błąd, zamiast demonstrować zabarwiony *schaden Freude* fałszywy szacunek wobec redaktora naczelnego?

„One”

Słynne Wałęsowskie „za, a nawet przeciw” jest niczym w porównaniu z karkołomnymi figurami myślowymi Józefy Hennelowej. Na przykład taki cytat z rozmowy z Romanem Graczykiem: „Potrzebne jest dbanie o równość praw, ale bez walki ideologicznej. Kiedy w Sejmie niektóre posłanki zapraszały mnie do udziału w pracach Parlamentarnej Grupy Kobiet, odmówiłam. Takie wyodrębnianie się wydawało mi się czymś dziwnym”. Bóg raczy w takim razie wiedzieć, jak ma być dokonywana rewindykacja i egzekucja owych równych praw (modlitwą?), nie mówiąc o budzeniu indywidualnej i grupowej świadomości kobiet, o których Józefa Hennelowa w dalszej części tej samej rozmowy dość nieprzyjaźnie i protekcyjnie mówi „one”. Jest rzeczą oczywistą i zarazem smutną, że nie doświadczyła nigdy wsparcia kobiecej grupy ani identyfikacji z kobietami. Zresztą, chyba domyślam się, dlaczego jeszcze nie chciała wziąć udziału w pracach Parlamentarnej Grupy Kobiet. Widać brakowało tam Hennelowej męskiego i kościelnego Autorytetu, bez którego najwyraźniej nie jest w stanie podejmować decyzji. Widać obawiała się, że nie obroni swoich racji wobec wolnych kobiet, które tego autorytetu nie respektują i chcą dokładnie wiedzieć, dlaczego czegoś im nie wolno a coś innego muszą.

Świat Józefy Hennelowej zadziwia prostotą. Wszędzie tam, gdzie mogłoby pojawić się jakieś pęknięcie lub konflikt - na przykład w fakcie, że „Wcielenie dokonało się w mężczyźnie” - Hennelowa widzi „tajemnicę”, której należy się szacunek. Zwierza się też Graczykowi: „Zastanawiam się nad zapalczywością postulatów kapłaństwa kobiet. Dlaczego im aż tak strasznie na tym zależy? Mam takie wrażenie, że tu na dnie drzemie jakieś marzenie o zatarciu wszelkiej różnicy między płciami i to marzenie wydaje mi się kompletnym nieporozumieniem. Powiem więcej: wydaje mi się czymś płaskim i żalonym”. Bo w sprawie różnicy płci Hennelowa ma pogląd prosty i jasny, nie zakłócony żadnymi bezbożnymi lekturami ani nawet ciekawszym doświadczeniem własnym. Zresztą czymże byłoby to wszystko wobec męskiego i kościelnego Autorytetu? Hennelowa mówi Graczykowi: „Zgadza się ze śp. Tadeuszem Żychiewiczem, który powiadał, że

kobieta w konfesjonale to z samych powodów psychologicznych byłoby c o ś (podkr. moje - R.L.) niesłuchanie ryzykownego. Jak sobie wyobrazić dochowanie tajemnicy spowiedzi przez kobiety? Myślę, że mężczyźni będąc innej, bardziej odpornej konstrukcji psychicznej, mają p o p r o s t u (podkr. moje - R.L.) znacznie większy dystans: i mniej się sami męczą, i nie muszą zaraz się zwierzać kolegom”. Najlepsza riposta na te - za przeproszeniem - esencjalistyczne i mizoginiczne brednie, zresztą typowe wśród bezżennego katolickiego kleru przez Utę Ranke-Heinemann zwanego wdzięcznie „celibatariuszami”, znalazła się w liście jednej z czytelniczek „Wysokich Obcasów”, Marty Kamenz, która napisała: „Kobiety księża wobec tajemnicy spowiedzi zachowałyby się zapewne tak samo jak kobiety adwokaci wobec tajemnicy klienta, kobiety lekarze wobec tajemnicy lekarskiej, kobiety szpiedzy wobec tajemnic wywiadu, a kobiety policjantki wobec tajemnic policji”. I jak Józefa Hennelowa wobec tajemnic „Tygodnika Powszechnego”.

„Ten jego Staś”

Jednak najbardziej niepokoją Hennelową lesbijki, choć nie wspomina o żadnej, którą by osobiście знаła (więc spełnia warunki klasycznej definicji dyskryminacji, która polega na postrzeganiu konkretnych osób przez pryzmat ogólnych cech przypisywanych arbitralnie jakiejś zbiorowości, na przykład: Mój sąsiad Abraham na pewno jest złodziejem, ponieważ Żydzi kradną). Zamiast tego maluje wymowny, jak można mniemać, obrazek: „W roku siedemdziesiątym byłam w Karlsruhe na jakiejś dyskusji wśród nowoczesnych artystów. I tam na sali dominowały dwie olbrzymie fotografie: jedna to były czołgi na ulicach Pragi, a druga to dwie lesbijki w miłosnym uścisku”. Ponieważ Graczyk wyraźnie nie dostrzega dramatyzmu tego zestawienia, a nawet widzi w nim pewien sens, Hennelowa wyjaśnia: „A ja uważam, że są sytuacje, których nie wolno nam uznać za normalne, nawet jeśli ich nie możemy zmienić i musimy je jakoś tolerować”. Tu pojawiają się słynne już *exempla* Hennelowej, które tak oburzyły czytelników „Wysokich Obcasów”: jedno *exemplum* negatywne, a drugie - pozytywne.

Negatywne to matka Jerzego Waldorffa, która na widok partnera swego syna miała powiedzieć: „Witam drugiego syna w domu”. Hennelowa uważa gest matki Waldorffa za „przesadny, bo co innego pogodzić się z faktami, a co innego wysyłać komunikat w rodzaju <nie ma problemu>, podczas gdy problem jest, i to jaki!”. Ona sama zachowałaby się inaczej, zapewne tak samo, jak wobec wujka-rozwodnika, który usłyszałby z jej ust w przededniu Wigilii: „Wybacz, ale jesteś

zaproszony sam". Aż strach pomyśleć, co Józefa Etos-Hennelowa musiałaby usłyszeć w odpowiedzi! *Exemplum* pozytywne to pisarz Jerzy Zawieyski, a raczej jego godna pochwały postawa. Józefa Hennelowa wspomina stare, smutne dzieje: „Nigdy (...) nie widziałam Jerzego Zawieyskiego z t y m j e g o S t a s i e m (podkr. moje - R.L.). O tym się wiedziało, to był trwały związek, ale kiedy on przyjeżdżał do Krakowa, to zawsze sam. Nie ekspozował tego". Co innego teraz: „Weźmy sprawę klubów gejowskich. Do niedawna te kluby były dyskretne, oczywiście nikt ich nie niepokoił (od „niepokojenia" takiego klubu zaczął się ruch emancypacji gejów w USA - R.L.). Od pewnego czasu okna klubowe są jak sklepowe witryny, pokazują bardzo oświetlone wnętrza: taka demonstracja wobec przechodniów, wręcz ostentacja. (...) Do tego dochodzi jeszcze naigrywanie się z Kościoła: np. lesbijki występujące na manifestacjach w strojach zakonnic". „Sumienie polskiej publicystyki katolickiej" najwyraźniej nie rozumie, dlaczego ludzie nie chcą być hipokrytami.

O ile powyższe sądy, aczkolwiek bulwersujące, mogą od biedy uchodzić za prywatne przekonania, o tyle wypowiedzi Józefy Hennelowej na temat związków homoseksualnych oraz ich prawa do adopcji i wychowywania dzieci to już czystej wody ignorancja i rozmijanie się z prawdą, a także przejaw bardzo niechrześcijańskiej złej woli. Hennelowa nie zadaje sobie trudu, by zapytać zainteresowane osoby, co o tym myślą i dlaczego potrzebne im są legalne związki. Nie próbuje ich poznać i sama wie lepiej, czego lesbijki i geje potrzebują, a ściśle rzecz biorąc, to jej w ogóle nie obchodzi, ponieważ odmawia im podmiotowości. Bo kto to widział, żeby patologia miała jakieś prawa, choćby prawo głosu we własnej sprawie! Dzieci i geje głosu nie mają i uszanujmy tę tajemnicę. Akty prawne w rodzaju obywatelskiej umowy solidarności (PACS) we Francji czy cywilnych ślubów w Holandii Hennelowa uważa za „oficjalną akceptację patologii", „tolerancję plus" i nieuzasadniony przywilej, co tego „czołowego przedstawiciela otwartego polskiego katolicyzmu w najlepszym wydaniu" stawia w jednym rzędzie na przykład z Marcinem Libickim z ZChN, a przy okazji wyjaśnia, czym dla Hennelowej jest tolerancja: bezsilną rezygnacją, bo jeśli nie można homoseksualistów eksterminować (dekalog nie pozwala), to należy pogodzić się z ich istnieniem, pod warunkiem, że nie będą rzucać się w oczy⁵. „Ten jego Staś" ma zostać w domu i nie denerwować porządných katolików swoim widokiem. Dla kurażu niech sobie poczyta testament.

Ponadto Hennelowa utrzymuje: „Wychowywanie dziecka przez parę homoseksualną to byłoby zaszczepianie dziecku fałszywego wzorca seksualności.

Ogromna większość ludzi nie ma takich skłonności, ale dziecko heteroseksualne, wychowane przez homoseksualistów, stanie się niemal na pewno homoseksualistą - wbrew swym naturalnym skłonnościom". To naprawdę „płaskie i żałosne", jak Hennelowa płacze się w sprzecznościach, i to w jednym zdaniu! Bo jak to jest: czy dziecko przychodzi na świat z wrodzoną orientacją seksualną, czy też nabywa ją lub wybiera biorąc przykład z otoczenia? Jeśli orientacja heteroseksualna jest wrodzona i naturalna, to chyba nic nie może jej zmienić? A jeśli nie jest wrodzona, to w jaki sposób adoptowane czy sztucznie poczęte dziecko może być „heteroseksualne" już w chwili adopcji? Ale zostawmy to. Ważne jest to, że przekonaniu Hennelowej (dziecko wychowane przez homoseksualistów stanie się „niemal na pewno" homoseksualistą) przeczy rzeczywistość. Rodzicielstwo osób homoseksualnych, które w wielu krajach zachodniej Europy jest od lat faktem społecznym (a w Holandii od stycznia 2001 roku będzie w pełni legalne), pokazuje niezbicie, że dzieci wychowywane przez homoseksualistów, własne lub adoptowane, nie wyrastają na homoseksualistów częściej niż inne. Co więcej, w krajach tych nawet przeciwnicy homorodzicielstwa nie używają argumentu Hennelowej, ponieważ publicystyczna rzetelność i zwykła ludzka przyzwoitość nie pozwalają im kłamać⁶. Ponadto na przykład we Francji o wiele wyższy jest poziom edukacji psychologicznej społeczeństwa i co do tego, że osobowość dziecka, w tym jego seksualność, nie kształtuje się na zasadzie prostego małpowania rodziców, raczej panuje zgoda. Gdyby orientacja seksualna dawała się tak łatwo „zaszczepić", jak sądzi Hennelowa, na świecie nie byłoby w ogóle homoseksualistów, ponieważ heteroseksualni rodzice potencjalnych homoseksualistów już w kołysce „zaszczepialiby" im heteroseksualność i mieliby sprawę z głowy⁷.

Odwaga Józefy Hennelowej

Zamieszczona w „Wysokich Obcasach" rozmowa z Hennelową wywołała tak zwaną lawinę listów. Przyznam, że czytałam je z wielką przyjemnością - ileż cudownych, wewnętrznie wolnych kobiet i mężczyzn żyje w naszym kraju! Napisała Dominika Ferens: „Istnieje w Polsce wiele pism, w których jest miejsce dla homofobicznych poglądów; do tej pory <Wysokie Obcasy> nie były jednym z nich. Homoseksualizm od lat nie jest uważany za <patologię>. Nie rozumiem, dlaczego pani Hennelowa miałaby decydować, w których zawodach mogą pracować geje czy lesbijki". Albo Małgorzata Maciejewska: „Podziwiam matkę Waldorffa (to jest prawdziwa tolerancja!)". Anna Poszytek: „Badacze nie znaleźli żadnych dowodów, że dzieci

gejów <zarażały> się orientacją od rodziców.

W Stanach żyje 10 mln takich dzieci i ani mniej, ani więcej wśród nich homoseksualistów niż wśród pozostałych”. Hanna Marciniak: „Jeśli chodzi o kwestię wychowawstwa, to dziewczynki na koloniach będą bardziej bezpieczne pod opieką jawnego homoseksualisty niż dobrze zamaskowanego pedofila”. Dorota Oborowska: „stosunek Józefa Hennelowej do homoseksualistów (...) jest zatruwająco dyskryminujący. Nie ma tu mowy o żadnej, deklarowanej przez rozmówczynię, tolerancji. Czasami własne wymagania etyczne przeradzają się w dyskryminację innych”. Katarzyna Zajfert: „Byłam świadkiem zawarcia PACS-u przez dwóch przesympatycznych chłopaków i chyba wszyscy znajomi byli pod wrażeniem szczęścia, jakie promieniowało z młodej pary. Bo homoseksualiści to wcale nie poprzebierane monstra, których wielkie parady pokazują nam media. Dla mnie homoseksualista to ten uroczy blondyn o przemiłym uśmiechu, na którego pomoc mogłam liczyć w każdej trudnej sytuacji podczas mego pobytu na obczyźnie. To również jego partner, życzliwy chłopak o niesamowitym poczuciu humoru, ojciec czteroletniego syna z poprzedniego związku”. I tak dalej, i tak dalej.

Józefa Hennelowa w swej odpowiedzi drukowanej w tym samym numerze „Obsasów” zakwalifikowała te listy jako „emocjonalne”, a w jej świecie wartości oznacza to merytoryczną dyskwalifikację (choć w moim świecie wartości emocji nie odczuwa jedynie psychopata). W zasadzie pozostała więc przy swoim zdaniu. Napisała między innymi: „Dzieci rzucane decyzją adopcyjną, lub zapłodnieniem in vitro dla lesbijek, w środowisko homoseksualne, na długi dystans rzucane byłyby na pustynię kultury, w której ginie sens takich wartości jak ojcostwo i macierzyństwo, rodzina i dom, razem z całą tej kultury historią. Dreszcz mi chodzi po plecach od takiej wizji”. Jeżeli ojcostwo i macierzyństwo, rodzina i dom miałyby istotnie znaczyć tylko to, co rozumie przez te pojęcia Józefa Hennelowa, to rzeczywiście niech zginą. Na szczęście wszystkie cztery ewoluują i zmieniają swoje znaczenia, a każde z nich ma już pokazną historię, która dokumentuje bogactwo ich znaczeń oraz różnorodność struktur i funkcji.

A co na to wszystko redakcja?

Ewa Wieczorek napisała w imieniu zespołu: „Wyraźne określenie granic swojej tolerancji to dziś odważny gest. Zrobiła to Józefa Hennelowa”.

Czyżby?

Dla mnie gest Hennelowej to nie odwaga, lecz totalna kompromitacja „otwartego polskiego katolicyzmu w najlepszym wydaniu”. Chyba, że Kazimierza Świtonia z

jego antysemityzmem też uznamy za pełnego wewnętrznej uczciwości wiernego rycerza własnej prawdy. Ale tego zapewne Ewa Wieczorek nie zrobi.

Mam nadzieję, że wyrażenie: „odważna / odważny jak Hennelowa” wejdzie w obieg potocznej polszczyzny ironicznej i tam już pozostanie.

Przypisy:

¹ Dzieci wolno mieć mianowicie parom heteroseksualnym, nie wolno zaś ich mieć parom homoseksualnym oraz - niezależnie od orientacji seksualnej - kobietom, które zamierzają ewentualne dzieci wychowywać samodzielnie.

² Cudownym zbiegiem okoliczności, a może zrządzeniem losu, na okładce tej książki widnieje ni mniej, ni więcej, tylko biała, martwa kobieta!

³ „Wysokie Obsasy” z 12 sierpnia 2000 r.

⁴ Pomijam w tej chwili ewentualną niewolniczą radość Pani Józefy z upublicznienia błędu Turowicza, choć taki scenariusz też jest możliwy - Pani Józefa czuje się bardziej kompetentna niż Naczelny i odczuwa nieznośne brzemień Autorytetu, któremu wewnętrznie i zewnętrznie podlega, zatem mści się na nim, nieświadomie próbując go ośmieszyć, ale jednocześnie ściąga na siebie za to karę, by zadowolić także swoje nad-ja.

⁵ Nie przypadkiem literacką patronką Hennelowej okazuje się w rozmowie z Graczykiem Zofia Kossak-Szczucka, która podobną „tolerancję” praktykowała wobec Żydów. Marek Beylin wymienił ostatnio jej nazwisko - obok nazwiska Jana Dobraczyńskiego - jako przykład polskiego antysemityzmu „z ludzką twarzą” (*Mówmy: „ja” i „my”, a nie „oni”*, „Gazeta Świąteczna” z 2-3 grudnia 2000 r.; w sprawie tego, czy antysemityzm w ogóle może mieć „ludzką twarz”, oraz w sprawie Kossak-Szczuckiej zob.: Maria Janion, *Spór o antysemityzm. Sprzecznosci, wątpliwości i pytania*, w: *Do Europy - tak, ale razem z naszymi umarłymi*, Sic!, Warszawa 2000). Najwyraźniej w Polsce rozwija się homofobia „z ludzką twarzą” - podobnie jak w przypadku antysemityzmu, celują w tym środowiska katolickie.

⁶ Zob. na ten temat dwa moje artykuły: *Umowa miłosna*, „Gazeta Świąteczna” z 28-

29 października 2000 r. i *Ostatnie tabu*, „Zadra” 2000 nr 3 oraz książkę Erica Dubreuil *Des parents de meme sexe*, Odile Jacob, Paris 1998.

⁷ W tym miejscu pomijam poruszoną w rozmowie z Graczykiem nazbyt już żenującą kwestię zatrudniania nauczycieli gejów (zdaniem Hennelowej można to robić, „ale pod warunkiem, że sprawa nie wypłynie w ich zachowaniu”) jako odprysk naiwnej teorii „zaszczepiania” orientacji seksualnej. A swoją drogą, aż dziw bierze, że w tym kontekście nie „wypłynęła” sprawa gejów jako pedofili – wśród tak wielu stereotypów obecnych w wypowiedziach Hennelowej tego jednego akurat zabrakło. Zapewne Hennelowa chciała w ten sposób uszanować tajemnicę głośnej ostatnio pedofilii wśród kleru.

Trisha Todd

Podróż

Tej nocy, poprzedzającej moje przenosiny do Iowa, zaczęłam się bać. Nie myślę, że to były wątpliwości. No może, ale przede wszystkim czułam się jak wtedy, kiedy byłam mała i chodziliśmy się kąpać w gliniance w Silverton, w stanie Oregon. Stawałam na skalistej krawędzi i czekałam przed skokiem. Pod drzewami panował chłód, było mi zimno, kiedy tak stałam mokra od pływania. Żeby się tam dostać, trzeba było wspiąć się po śliskich, omszałych głazach, które zwisały się nad wodą; ciągły jej przepływ sprawiał, że wszystko wokół było mokre i pachniało wilgocią, chłodne, chłodem tak silnym, że przenikał całe ciało, oczyszczając myśli i duszę. Po wejściu na górę stałam trzymając się drzewa i żadna myśl nie była ważniejsza niż skok. Poniżej, w dole wszyscy patrzyli i czekali, kiedy się skoczy, więc nie można było zbyt długo zwlekać. Czasem można było pozwolić innym skakać najpierw, ale to się udawało tylko za pierwszym albo za drugim razem. Potem już każdy był sam. Najodważniejsi po pierwszym skoku przytrzymywali się liny i skakali na głowę. Nie byłam jedną z nich. Wystarczało mi skakanie na nogi. Ale przed skokiem była ta chwila na krawędzi. Stałam tam sparaliżowana, serce mi waliło. Chciałam skoczyć. Znałam uczucie spadania poprzez powietrze i uderzenia o powierzchnię wody – uczucie lotu. Chwila na skale, przed skokiem, była jak całe życie, myśli, które przebiegały mi przez głowę, pęd przenikający ciało.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku, czułam się tak samo. Mała dziewczynka, która czeka, żeby skoczyć. Kiedy wreszcie zrywałam się do lotu, zawsze odbywało się to tak samo, spadanie, siła lądowania, spadanie jak kamień na dno wody, a potem wznoszenie się na powierzchnię. Właśnie ta chwila sprawiała, że warto było skakać, to wydostawanie się z powrotem poprzez wodę, po tym jak się było pod powierzchnią. Uwielbiałam wstrzymywać oddech, jak długo się dało, na basenach, w rzekach, w jeziorach, w oceanie.

Woda w gliniance była chłodna i miała głęboki zielony odcień, pierwsza warstwa była wygrzana słońcem, głębiej panował chłód i ciemność. Uderzało się w wodę i zanurzało, pozwalając swemu ciału spaść tak nisko na ile pozwalała jego nieduża waga, a potem wznosić się ku powierzchni jak zdechła ryba. Potem przebijało się powierzchnię. Po zaledwie chwili wytchnienia zaczynało się wspinaczkę na skałę żeby powtórzyć wszystko jeszcze raz. Znowu i znowu, cały dzień,

całe lato – całe moje życie. Wspinaczka, skok, uderzenie, spadanie, wznoszenie, wynurzenie...

Woda. Robiłam to samo w wannie. Pozostawałam pod wodą jak długo się dało, patrząc na filmy, które przywoływała pamięć, wsłuchując się w ciszę, rodząc się ponownie, znowu i znowu.

Leżąc w łóżku przytąpywałam się na tym, że wstrzymuję oddech, wsłuchując się w ciszę swoich własnych myśli, podczas gdy film mego życia odgrywał się przed moimi oczyma. Zastanawiałam się, ile czasu minie zanim wypłynę na powierzchnię...

Pamiętam, że czytałam o kobietach, które odebrały sobie życie topiąc się. Virginia Woolf. Bohaterka „Przebudzenia” Kate Chopin. Myślałam, że tak właśnie chciałabym umrzeć, ale jakże to musi być trudne. Ciało nie pozwala; walczy żeby wypłynąć na powierzchnię, żyć, oddychać. Nie wiem jak one potrafiły tego dokonać – i uważam, że to interesujące, że to kobiety wybierają ten sposób. Dlaczego? Może to pragnienie powrotu do wody; może to spokój śmierci, jej pozbawiony gwałtowności charakter. Taka śmierć wydaje mi się gotycka, jest romantycznym wyrazem poddania się.

Leżałam w łóżku, sparaliżowana, usiłując wziąć się w garść, przygotować do wielkiego skoku. Iowa. Iowa. Wyrosłam nad oceanem, a oto miałam jechać tysiąc sześćset osiemdziesiąt dwie mile, najdalej od wody jak to możliwe. O świat stąd. Czuję się jak pierwsza ryba, która spróbowała wyjść z mroku wodnego świata, w którym została stworzona. Zastanawiam się, czy moje płetwy zamieniają się w nogi, czy moje skrzela staną się płucami. Czy moja skóra spali się z braku wilgoci? Kiedy dotykam siebie, nie czuję łusek, tylko cienkie włosy i skórę. Nie, nie jestem rybą; jestem tylko zwierzęciem pozbawionym instynktu.

To będzie moja trzecia wyprawa z Oregonu do Iowa, ale pierwsza przeprowadzka. Przeprowadzka do Iowa. Przenosiny w nowe miejsce, w coś innego. Gdzie będę mogła być inna. Gdzie będę mogła zacząć od początku. Gdzie Annie i ja będziemy mogły zacząć od początku. Nowe narodziny.

Dziwnie mi było porzucić ocean. Zawsze mieszkałam obok wody - jakiejś wody – i z trudnością przychodziło mi wyobrazić sobie, jak to będzie. Postanowiłam myśleć o polach kukurydzy jak o wodzie. Nie wiedziałam, czy mi się to uda, ale warto było spróbować. Pozostawić wodę daleko za sobą. Nie po prostu wodę, ale ocean, moją tożsamość. Zawsze mieszkałam na jednym albo na drugim wybrzeżu; nie być na krawędzi to coś nowego.

Z jakiegoś powodu artyści czy „społeczni dewianci” mają skłonność do migrowania ku obu wybrzeżom - może chodzi o życie na krawędzi. Bez względu na powód, rzuciłam temu wyzwanie. Iowa leży w środku, w samym środku! Iowa to ziemia, polacie, całe polacie ziemi. Będę pływać w morzu lądu i otwartych przestrzeni, bez zabezpieczenia. Kukurydza będzie moim korałem, moimi glonami. Ptaki jak ryby, ja płynąca pod powierzchnią nieba. Syrena w kukurydzy. (...)

Pół roku temu rozstałyśmy się z Annie. Oto przeprowadzam się, żeby być z kimś, kto uciekł ode mnie przed sześcioma, prawie siedmioma miesiącami. Jak mam wrócić do tego,

z czym obie walczyłyśmy, co pozostało nierozwiązane? Coś mnie do niej ciągnie, a jednocześnie chroni. Czuję się jak Frankenstein, biegnąc za swoim stwórcą. Tak, jakby wszyscy, których kochałam uciekli ode mnie. W pewnej chwili palec wskazuje w odwrotnym kierunku i trzeba powiedzieć - ja. Może to ja, ale Annie jest inna. Jest brzegiem, ciągnącym mnie ku sobie. Ocean nie ma wyboru, musi spotkać ląd; ich przeznaczeniem jest się spotkać - nawołują się rytmicznie. Annie zawsze była dla mnie tym właśnie. Jest słońcem, a ja Ikarem. (...)

Annie nie jest Annie; jest „moją Annie”, tą, którą stworzyłam, tą, która jest mi potrzebna. Czy jest snem? Nic nie jest zupełnie realne. Czytałam, że każdy widzi kolory inaczej. Niebieski nie jest niebieskim tylko tym, jak go postrzegamy, na co mają wpływ nasze doświadczenia. Każdy człowiek widzi wszystko inaczej. To nas ratuje i sądzę, że jednocześnie przysparza nam kłopotów.

Czasem chciałabym, żeby ten koszmarny rok się skończył. Budzę się i moje dawne życie nadal trwa. Prowadzę codziennie zajęcia, po szkole reżyseruję, weekendy wypełnione są Annie i jej synkiem Christianem. Widuję swoich studentów. Franky przynosi mi rano kawę

z mlekiem, rozprawiamy o życiu - śmiejemy się. Franky zawsze potrafi mnie rozśmieszyć. Ale to nie jest tak. Zmiana i ból miały jakiś powód - „ból jest częścią szczęścia” - coś w tym rodzaju. Otaczała mnie „ciemna noc” i oślepił mnie jakieś głębokie światło. Prawda?

W pewnej chwili spojrzę wstecz i zrozumieć, że przeszłam przez coś wielkiego. Prawda?

Ale jeszcze nie mam dystansu. Nadal wierzę, że niebieskie jest niebieskie. Prawdę mówiąc, to co dla mnie było koszmarem, dla niej mogło być cudownym snem. Jest taka myśl... I może jeśli odrzucę to wszystko tak jak film grozy, może wtedy będę w stanie to zaakceptować. Ale jestem ciągle w samym środku; to moja wina, mój wybór. Ciągłe szamocę się pod wodą, wstrzymując oddech.

Miłość jest jak tonięcie.

Kiedy wyobrażam sobie śmierć, to zawsze przez utonięcie – w tego rodzaju śmierci jest coś seksualnego. Może chodzi o zanurzenie ciała w czymś innym – całkowite zanurzenie, bez powietrza, bez oddechu, bez wypłynięcia.

Czy naprawdę stawiam znak równania między miłością i śmiercią? (...)

Annie postanowiła przeprowadzić się z powrotem do Iowa, żeby być blisko swojej rodziny, żeby jej syn mógł wzrastać obok kuzynów i dziadków. Żeby ona sama mogła odwrócić swe życie i „zrobić to, co należy”, a nie prowadzić życia, które jest niezgodne

z „boską wolą”. Słyszałam to wiele razy. Zastanawiam się, co to znaczy; oczywiście ma to różne znaczenie dla różnych osób. Inne dla chrześcijanina, inne dla buddysty; intryguje mnie ta różnica. Zawsze trudno mi było zrozumieć chrześcijańskiego Boga – nie „Boga” czy Jezusa – wierzę w obu. Brak mi wiary w religię per se – nic nie oddala nas bardziej od Boga, a szczególnie od Jezusa. Tej jesieni dużo czytałam o Jezusie i latach, które spędził z gnostykami. Dużo się dowiedziałam o nim, jego nauczaniu, jego mistycyzmie. Zaczęłam widzieć inny wizerunek tego człowieka. Percepcja... Ciekawe jak widział niebieski?

Jednak oto się przeprowadzam w samo centrum Religijnej Prawicy. Iowa. Wiem, że czegoś się tam nauczę. Gdyby dziesięć lat temu ktoś mi powiedział, że tam będę mieszkać, odpowiedziałabym: „masz źle w głowie”, ale dziesięć lat to całe życie.

Patrzę na łańcuszek z dwoma kluczami. Kluczyk do samochodu i klucz do przechowalni. Dwa klucze. Dwa. Rok temu miałam wiele obowiązków i klucz do każdego z nich. Ale teraz wszystko jest o wiele prostsze. Dwa klucze. Mam trzydzieści sześć lat i mówią, że moje życie powinno wyglądać inaczej. Brakuje mi pęku kluczy, kieszeni obciążonej ciężarem odpowiedzialności.

Przez pół roku mieszkałam na strychu – prawdę mówiąc w pokoju nad garażem. Moje rzeczy są w przechowalni, rzeczy, które zawsze przynosiły mi pociechę leżą spakowane, dopóki nie odnajdę swej drogi – dopóki nie znajdę domu. Iowa?

Zadzwoiłam dziś wieczorem do Annie, szukając pociechy. Nie najlepiej nam się to udaje; mamy skłonność do oddalania się od siebie. Jakakolwiek wątpliwość u jednej powoduje reakcję łańcuchową u drugiej, jak efekt domina. Chciałam współczucia, jej potrzebna była siła – i tak to idzie. Prawdę mówiąc role często się odwracały. Słyszę w niej uwięzione w klatce zwierzę. Chodzące po klatce. Ona patrzy na mnie tak, jakbym była po drugiej stronie, jakbym była tą, która ma klucz, ale tak nie jest. Ja też jestem w klatce. Patrzymy na siebie spoode łba, podczas gdy

drzwi klatki stoją otworem. Jestem zbyt wrażliwa, jak krab o miękkiej skorupie.

Dziś wieczór się żegnam. Dlatego zadzwoniłam. Nie umiem się żegnać – choć można by pomyśleć, że miałam dość praktyki. Płacę. Teraz też zbiera mi się na płacz; chcę gdzieś znaleźć pociechę. Gdzieś w środku samej siebie chcę znaleźć dom i ciągle się przemieszczam – bokiem, jak krab. Nie sędzę, żebym znalazła szczęście, przemieszczając się. Wiem, że nie znajdę. To musi przyjść od wewnątrz. Ale nie mogę nie próbować. Nie mogę się powstrzymać od tego nieustannego poszukiwania, kogoś - czegoś - jakiegoś miejsca - czegoś na zewnątrz mnie samej, i tak rozumiem znaczenie tego, że moje poszukiwanie musi się zwrócić do wewnątrz i trzymam się, jak długo potrafię, dopóki nie muszę odpocząć także od tej podróży.

Będę myśleć o niebie jak o oceanie. Obserwować kolory jak zachód słońca na plaży. Tego mogę się trzymać

Oznajmiłam Annie, że kiedy wrócę, napiszę „wielką amerykańską powieść”.

Powiedziała: „To do ciebie pasuje – musisz znaleźć jakiś romantyczny powód, żeby się przenieść na Środkowy Zachód”.

Przez moje ciało przebiega tyle uczuć. Tyle myśli przemyka mi przez głowę. Będę tęsknić za przyjaciółmi. Staram się pokazać, że ufam swojej decyzji, ale chyba widzą zwątpienie w moich oczach i słyszą zdenerwowanie w głosie. Niewiele potrafię ukryć – dość łatwo jest we mnie czytać. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jestem pewna, że Annie też to wyczuwa i przez to czuje się odpowiedzialna. Odpowiedzialność – to coś z czym walczę. (...)

Poznałam Annie prawie cztery lata temu podczas ferii Bożego Narodzenia. Kończyłam uczelnię, byłam gotowa zacząć uczyć studentów; Annie była w środku drugiego roku wykładania biologii. Mieszkała w małym miasteczku około godziny jazdy od Portland, ale większość życia spędziła w Iowa.

Przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia było okropne. Tak naprawdę nikogo nie znałam i zmuszałam się, żeby wychodzić i spotykać się z ludźmi podczas ferii. Brakowało mi przyjaciół w środowisku homoseksualnym, najmniej lesbijek, ale chciałam to zmienić. Wśród lesbijek czułam się niezręcznie, bo w przyjaźni z nimi istniała ta dodatkowa warstwa, która mnie stresowała. Tak, jakby każda przyjaźń była potencjalnym związkiem. Nie było prawdziwie jasnej sytuacji. Miałam dosyć problemów z przekraczaniem linii z heteryczkami, więc po co jeszcze sobie dokładać?

Weszłam do kuchni i jedyne co pamiętam, to to, jak do mnie podeszła. Przyszła do mnie jak światło – koloryt Annie jest jak złoto, jak brąz. Jej ciało jest silne i długie. Przypominała mi Dominique z „The Fountainhead”, stalowoniebieskie oczy, wysoka, białe-blond włosy. Trzymałam się jej przez cały wieczór. Rozmawialiśmy o